

ROZMOWA WODECKIEJ

WERONIKA SZCZAWIŃSKA

- (ur. 1981) jest reżyserką,
dramaturżką,
kulturoznawczynią
i tłumaczką z języka
angielskiego. Absolwentka
Międzywydziałowych
Indywidualnych Studiów
Humanistycznych
na Uniwersytecie
Warszawskim. Reżyserię
studiowała
w warszawskiej Akademii
Teatralnej. Doktorka nauk
humanistycznych. Pracuje
w teatrach
w całej Polsce.
Mieszka w Warszawie

FERRANTE *mnie* ROZPIĘŁA

Piękna młoda matka. Autorka z pozycją. Romantyczna kochanka.
I zawsze kontroluje, czy to już, czy się udało?

z reżyserką WERONIKĄ SZCZAWIŃSKĄ rozmawia DOROTA WODECKA zdjęcie BART POGODA

Napluć na kulturę mężczyzn. I na wszelkie przejawy kultury patriarchalnej. Jak tam jeszcze szło?

– Sprzeciwić się marnotrawieniu kobiecej inteligencji. Wykreślić z mózgu przekonanie o własnej niższości. Przywrócić sobie siebie samej.

I jeszcze: kiedy kutasa ogarnia impotencja, ucieka się do pałki, do policji, do więzienia, do wojska.

– To nie jest moja diagnoza, tylko tekst Carli Lonzi, wybitnej postaci drugiej fali włoskiego feminizmu. Zaciekał mnie, bo jest przegięty. Użyłam go w spektaklu „Genialna przyjaciółka” z premedytacją, zastanawiając się, czy nie nadszedł czas powrotu do operowania ostrym i przesadnym językiem. Skoro jedna strona używa go na co dzień, to my, kobiety, nie wygramy subtelnościami.

Życie kobiet na Ziemi musi dopiero się zacząć, pisze w latach 70. Lonzi, co przywołuje w swojej tetralogii Elena Ferrante, a za nią pani, wystawiając oparty na jej powieści spektakl w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu.

– Teatr potrzebował akurat adaptacji współczesnej prozy, a dla mnie to, co pisze Elena Ferrante, jest w tej chwili prozą najważniejszą. Bo z tym życiem kobiet na Ziemi faktycznie jest problem. Rozmawialiśmy o Ferrante z dyrektorem teatru kilka miesięcy po pierwszym „czarnym proteście”, kiedy było wiadomo, że sprawy kobiet wróciły do polityki ze zdwojoną siłą. Nie tylko w Polsce. Na całym świecie społeczeństwa uzmysławiają sobie, że nie

przeszliśmy faktycznej emancypacji, więc uznałam, że to dobry moment, by wrzucić Ferrante na scenę.

Czytałam wszystkie jej książki. To autorka obsesjonatka. Te same postaci, te same motywy, te same imiona – bardzo spójne uniwersum, któremu przygląda się z różnych perspektyw. Raz w miniaturze albo – jak w tetralogii – w epickim longu.

Były dla pani olśnieniem?

– Lekturą porywającą od pierwszych stron, chociaż przyczyny porwania się zmieniały. Na początku ujął mnie jej sposób opowiadania o codzienności, brak lekceważenia dla rzeczywistości brudnej ścierki. Żyjemy w świecie nadmuchanych abstrakcji, idei, wyobrażeń i podziałów, a ona przygląda się swoim bohaterkom bardzo czujnie i pokazuje konkret ich życia. I to, jak drobne tapnięcia konstytuują wielkie dramaty i wpływają na wielkie życiowe decyzje. I w końcu, że rzeczywistość niesie sprzeczności, bo można wierzyć w jedno, a robić drugie.

A potem porwała mnie jej szczerość w pisaniu o kobietach. Szczerość, która nie jest ekshibicjonizmem, lecz bezlitosną, ale także empatyczną perspektywą. A przy kolejnej lekturze dałam się ponieść perspektywie historycznej, politycznej i społecznej, w którą wplecione są losy bohaterów. Jednak pierwsze czytanie całej tetralogii było bardzo emocjonalne i bezinteresowne.

Bezinteresowne?

– Zazwyczaj, kiedy czytam książkę, zastanawiam się, czy to, co w niej znajduje,

jest materiałem dla teatru albo inspiracją do mojej pracy, a przy lekturze Ferrante w ogóle o tym nie myślałam. Ta powieść była tylko dla mnie. Nie zamieniłam bezinteresownej przyjemności w lekcję do odrobienia do pracy, jak by zrobiła to Elena Greco, główna bohaterka i narratorka „Genialnej przyjaciółki”. Ale w sumie zrobiłam to później.

Polecałam te powieści znajomym, bo miałam wrażenie, że nie muszą mieć w Polsce dobrego startu, między innymi ze względu na pierwsze wersje okładek.

Czy z podobną emocją czytała pani w dzieciństwie „Anię z Zielonego Wzgórza”?

– Nie byłam fanką „Ani”. Przeczytałam kilka tomów, znajdując w nich uwodzicielskie opisy wyspy i zabawne przygody, ale miałam poczucie zamknięcia bohaterki w świecie, który nie do końca mi odpowiadał. Pod tymi przygodami, ambicjami i oryginalnością od pierwszych stron czai się pragnienie wyjścia za mąż, posiadania gromadki dzieci i tam ulokowania swoich ambicji.

Zapamiętałam z dzieciństwa scenę, w której Ania spotyka Krystynę, swoją rywalkę z uniwersytetu. Nie tylko rywalkę intelektualną, ale też konkurentkę o względy Gilberta. Ania jest już wtedy jego żoną, ma dom i dzieci. Krystyna pyta ją, co się stało z jej ambicjami literackimi. I Ania reaguje dość nerwowo, ale uspokaja się na myśl, że jej dzieci są jej dziełami, i ze współczuciem myśli o bezdzietnej Krystynie. Denerwowało mnie to współczucie. »

Po „Ani” moje pokolenie zaczytywało się w „Jeżycjadzie”. Dla moich córek „Kwiat kalafiora” był lekturą w podstawówce. Co pani w niej znalazła?

– O ile Ferrante była moją miłością od pierwszego wejrzenia, w „Ani” mogłam znaleźć porywające sceny, o tyle na „Jeżycjadę” nie załapałam się nigdy. Zajął się nią paradoksalnie, dopiero pracując nad spektaklem, który dotyczył inspiracji związanych z książkami tego cyklu. Nie wiem, na ile mogę rozmawiać na temat mojej recepcji książek Małgorzaty Musierowicz, ponieważ producenci mojego spektaklu są w trakcie procesu z nią. **Zarzuca im naruszenie jej praw autorskich, dóbr osobistych i zarejestrowanego znaku towarowego „Jeżycjada”, który – jak czytam – zastrzegła kilka dni po wystawieniu waszego spektaklu. Nie ocenie, co tak zbulwersowało autorkę, bo sąd zakazał wystawiania spektaklu.**

– I od 2015 roku spektakl nie wyszedł z aresztu, a proces utajniono. Dlatego ja również pozwolę sobie na luksus milczenia w sprawie Małgorzaty Musierowicz, jestem już znudzona komentowaniem jej książek, a ona ma dość publicity. Nie każdy musi chcieć należeć do rodziny Borejów.

Borejkowie są na wskroś mieszczańscy.

– To jest raczej polskie mieszczaństwo, które śni sen na swój temat. Powidoki starej polskiej inteligencji i ziemiaństwa, a to jest formacja wąska. Miałam wrażenie, że paradoksalnie w tej afirmacji wzajemnej życzliwości, która przepełnia te książki, jest bardzo dużo pogardy. Dla aspirującej klasy średniej. Tłustawych dziewczynek. Dorobkiewiczów i badylarzy. Feministek. Klas ludowych.

U Ferrante też mamy klasowość, pogardę i poczucie wyższości. Ciekawi to panią?

– Bardzo. Bo to uwikłanie, w którym wszyscy tkwimy i o którym wciąż za mało rozmawiamy. U Ferrante ta pogarda ze strony klas wyższych nigdy nie jest skontrowana idealizacją. Po przeczytaniu jej powieści nie chcemy się stać Airotami, starą inteligencją, ani, dajmy na to, Cerullo z dzielnic biedoty. Wszyscy sobą gardzą, bo muszą ze sobą konkurować w społeczeństwie. I dlatego nie ma romantycznych elit ani sielskiego ludu, tylko taki dość trudny zakleszcz.

U Ferrante mieszczańskie wyższe sfery obserwujemy z perspektywy kobiety, która usiłuje się do nich dostać. I mimo że jej się to udaje, czuje, że do nich nie należy.

Nigdy nie będzie należeć, bo brakuje jej „tego czegoś nieuchwytnego, ale fundamentalnego, co do-

strzegało się z daleka, bo to było naturalne. Żeby to mieć, nie wystarczyło nauczyć się łaciny, greki czy filozofii i nie wystarczyło mieć pieniądze ze sprzedaży wędlin czy butów”.

– To przemyslenia Eleny, która obserwuje wyzwoloną szwagierkę. Elena odrabia lekcje z życia, jak kujonka, a tamta w jej mniemaniu żyje, jak trzeba, bo ją od razu tego nauczono. Sytuacja Eleny jest farsowa. Każdy krok „w górę” jest potwierdzeniem jej „niższości”. Tkwi między swoim dziedzictwem biedoty i klas ludowych a klasą mieszczańską, w którą weszła. I jako bezpaństwowiec widzi mechanizmy wykluczenia trochę szerzej.

Moja sytuacja życiowa nie jest bardzo podobna do sytuacji bohaterki „Genialnej przyjaciółki”. Nie startowałam z klas ludowych czy z biedoty. W wielu aspektach jestem dość uprzywilejowana. Ale mechanizmy wykluczenia społecznego są przez Ferrante tak dokładnie opisane, że każdy niezależnie od tego, z jakiej klasy się wywodzi, może się do nich odnieść i z nimi zidentyfikować. Bo nie trzeba startować z samego dołu drabiny, żeby wziąć udział w tej wymianie pogardy. Bo

MUSISZ MIEĆ POWODZENIE, ALE JAK ON CIĘ ZOSTAWI, TO BĘDZIESZ SZALONA

zawsze ktoś jest nad tobą, na przykład jesteś z Warszawy, to ktoś jest bardziej z Warszawy, bo ma tu korzenie etc.

Byłam bardzo szczęśliwa, że po wrocławskiej premierze „Genialnej przyjaciółki” pojawiały się wśród widzów, a konkretnie widzów, głosy, że to spektakl o kastowym społeczeństwie i że czują ulgę, bo mają się do czego odnieść między innymi jako osoby z mniejszych miast.

Elena się wstydzi, kiedy profesor historii pyta ją, czy czytała cokolwiek, co nie było szkolnym podręcznikiem. Wstydzi się za matkę, która wypila za dużo i śmieje się za głośno ze sprośnych dowcipów. I że mówi podniesionym głosem i młaska. Skąd się bierze ten permanentny wstyd w kobietach? Za siebie i za kogoś.

– Kobiety od najmłodszych lat znacznie bardziej uwrażliwia się na relacje międzyludzkie, czyniąc nas za nie odpowiedzialnymi. Dlatego nie tylko się wstydzimy, kiedy inni zaburzają te relacje, ale jeszcze chcemy swoim zachowaniem nadrobić niedociągnięcia innych. To toksyczne i odbija się toksycznie w każdej dziedzinie życia, na przykład taki model udręczonej matki może przekładać się na relacje zawodowe, w których dziewczyny będą na siebie więcej brały, żeby nadrobić za innych (i będą z tego powodu wkurwione), a jednocześnie dzięki temu wstydu łatwiej jest je kontrolować. No, co, ty tego nie zrobisz? Zawalisz?

Ale dlaczego Elena wstydzi się przyznać przed przyjaciółką, że jest wykończona swoimi dziećmi?

– Bo zachwiałby się jej wizerunek, a on jest zbudowany na wytrwałości. Dużo kobiet tak ma. Całe życie udowadniamy, że nie jesteśmy słabe. I w związku z tym zasuujemy ponad normę i jest w związku z tym szansa, że zabronimy sobie podstawowych praw człowieczych jak prawo do błędu, słabości, pomyłki. I Ferrante to świetnie chwytą.

Elena, jej bohaterka, tkwi w takim modelu feminizmu, który przerzuca na kobiety ogromną odpowiedzialność, każe walczyć, udowadniać, budować siłę. To bardzo ważne, ale do pewnego momentu, potem ta siła musi stać się empatią, również dla siebie. Inaczej – szarpanina. Elena, pozornie osoba sukcesu, bez wytchnienia przechodzi z modelu do modelu. Młoda pisarka. Piękna młoda matka. Autorka z pozycją. Romantyczna kochanka. I zawsze kontroluje, czy to już, czy się udało? Czy to już na zawsze? Śledząc ścieżkę Eleny, która pilnie pracuje, pilnie się uczy i staje się przez to studentką własnego życia, zaczęłam się zastanawiać, czy nie postępowałam podobnie. Książka była więc dla mnie zaproszeniem do porzucenia gorsetu czy jakkolwiek to nazwać. Dania sobie luzu, przyzwolenia na porażkę. Zwłaszcza że Ferrante całą tę ścieżkę opisuje w pięknych szczegółach, które zawsze są groteskowe. Każdy wymarzony model życiowy kryje w sobie nieoczekiwaną, przykrą niespodziankę dla Eleny.

Jaka ja byłam żalosna, jak bardzo dałam się zniechęcić poczuciu obowiązku, że muszę być najlepsza. Prawie wcale nie chodziłam do kina. Nigdy się nie upiłam, a seks zawsze uprawiałam w zakłopotaniu, w strachu, w ukryciu – wyznaje przed sobą.



Spektakl „Genialna przyjaciółka”
Eleny Ferrante
w reż. Weroniki Szczawińskiej,
Wrocławski Teatr Współczesny

– No właśnie. Strasznie się zaharowujemy. Nie dość, że mamy bieg z przeszkodami, to jeszcze same go sobie utrudniamy.

Lila, druga z bohaterek, przyjaciółka Eleny, jest znacznie bardziej wywrotowa. Znajduje nowatorskie nisze, w których to ona ustanawia swoje reguły. Odrzuca aspiracje. Buduje fortunę na pracy komputerowej, nie wyjeżdżając z neapolitańskiego slumsu. Jest radykalna. Jeśli system jej nie chce, to ona zmieni system albo wytworzy swój własny. Nie będzie konkurowała. Ferrante pokazuje nam, że konkurowaniem musimy sami siebie uwikłać w złożony splot kompromisów i fantazji. Że jednak trzeba gdzieś spuścić z tonu, pracować w poczuciu własnego wykluczenia. Dlatego fajnie, że w tej książce są dwie kobiety. Elena, która osiąga wiele, ale jednak jest niespełniona. Towarzyszy jej nieustanna niepewność, że kiedy już wskoczyła na etap, który uważała za ostateczny, okazuje się, że są kolejne. Bo kariera i awans społeczny nigdy się nie kończą. Natomiast Lila, nie wchodząc na tę drogę, ustanawia świat dla siebie. Jest trudny. Ale na jej warunkach.

Obydwie doświadczają pogardy i przemocy ze strony mężczyzn. To oni wiedzą lepiej od nich, czym powinny się zajmować, co czytać. I domagają się od swoich żon świadczenia usług seksualnych. Jeden jest wykształconym akademikiem, a drugi – macho z neapolitańskiej camorry.

– Przemoc realizuje się w każdej grupie i klasie społecznej, czasem tylko w inny sposób. I paradoksalnie trudniej się do niej przyznać w środowiskach wyzwolonych. Uważamy, że macyzm to chamstwo, które na pewno nie dotyczy naszych światłych kręgów. Otóż dotyczy.

Lila ma siłę radykalnie zareagować na obłapienie swojego szefa. Elena próbuje bagatelizować próby obejmowania jej i całowania przez pijanego profesora Tarratano.

– Nie przychodzi jej na myśl, że starszy, dystyngowany pan może zachować się w ten sposób, a przecież on ją ewidentnie molestuje. Wykształconej pani trudniej powiedzieć, że ta ręka jest za blisko, niż kobiecie z neapolitańskich slumsów.

Doświadczyla pani podobnych historii?

– To jazda obowiązkowa, ale na szczęście nie zaliczyłam jej w sposób hardcorowy. Wzrastając w Polsce, ma się poczucie zagrożenia ze strony własnego ciała – bo od najmłodszych lat słyszymy, że to ty masz nie chodzić ciemną uliczką i to ty masz nie nosić krótkiej spódnicy – i tego, że na różnych etapach różni chłopcy mogą sobie pozwolić cię napastować, a ty najwyżej możesz im dać w twarz, ale też bez przesady, bo to przecież takie końskie zaloty i chłopcy tak mają, no i może trochę dystansu do siebie?

A potem musisz więcej zrobić, by otrzymać to samo miejsce w strukturach zawo-

dowych. Ja na przykład byłam „debiutantką” przez kilka ładnych lat. Teraz może w teatrze trochę się coś zmienia, ale backlash cały czas wisi w powietrzu. Warto zawsze patrzeć, czy postulaty przekładają się na rzeczywistość.

Pamiętam taką historię. W szkole teatralnej w Warszawie jeden z profesorów, do tej pory pracujących, nieustannie naruszał dystans cielesny i psychiczny wobec studentek. Zgłosiłam tę sprawę do dziekana, bo czułam, że jeżeli sytuacja potrwa jeszcze chwilę dłużej, to przestanę chodzić do tej szkoły. Opamiętałam się, bo przecież to jest idiotyczne, żebym bała się pójść do szkoły, która jest dla mnie, która jest miejscem, gdzie powinno się mnie i moje koleżanki chronić. Dziekan z rzeczonym profesorem porozmawiał i krępujące zachowania wobec mnie i koleżanek z roku się skończyły. Wiem natomiast z relacji młodszych koleżanek i kolegów, że skończyły się na chwilę.

Dlaczego nie zareagowały?

– Kiedy ktoś kładzie pani rękę na ramieniu i w zasadzie nic nie robi, tylko rusza palcem, pani tę rękę zrzuca, a profesor pyta: „Co, boisz się mnie”, to co odpowiedzieć? To są drobne rzeczy, które lokują na przecięciu radykalnego seksizmu i mobberstwa i nadużywania pozycji władzy. Dziewczyny doskonale to rozpoznają, tylko się boją. Bo »

w zasadzie trochę obciachowo się unosić, bo co on ci właściwie zrobił.

No tak, przecież tylko posmyrał po ramionku.

– Ja usłyszałam, że szkoła teatralna to nie uniwersytet i że tutaj „temperamenta grają”, że są różne standardy w dystansie profesor – studentki na uczelni artystycznej i nieartystycznej. I dopiero pokazanie SMS-ów, jakie dostawałam od profesora, upewniło władzę, że jednak trzeba tę sprawę wyjaśnić.

Wyleciał w końcu z roboty?

– Nie. Obecny rektor wreszcie posłuchał studentów – bo oprócz zachowań wobec dziewczyn w grę wchodziła też przemoc psychiczna wobec wszystkich studentów – i odciął profesora od kontaktu z nimi. Ale go nie zwolnił, bo facet ma kilka lat do emerytury. Czyli publiczna instytucja hoduje mobbera.

„Solidarność naszą siłą” – krzyczą na manifestacjach kobiety różnych pokoleń. Też tak pani uważa?

– Piękne hasło, pod warunkiem że byłoby realizowane, a z tym jest problem. W jednym z teatrów, które znam, dyrektor odebrał aktorce wracającej po ciąży rolę, które grała w dotychczasowym repertuarze. Dla aktorki oznacza to poważną zmianę w dochodach, bo aktorzy zarabiają głównie na liczbie granych spektakli. Dwie z koleżanek miały superpomysł: chodźmy, wszystkie kobiety z zespołu artystycznego, do dyrektora i powiedzmy, że się na to nie zgadzamy. Sam pomysł wydaje mi się superdziałaniem politycznym. Bo jest mocny, solidarnościowy, obywatelski, nie potrzebuje nawet związków. Wszystkie pracowniczki mówią: nie damy tej jednej skrzywdzić, to jest nasza sprawa. Myśli pani, że się udało?

Dlaczego? To nie był trudny gest...

– Często nie jesteśmy solidarne, bo być może determinuje nas to, na co zwraca uwagę Ferrante. Nie patrzymy poza własny interes, krąg, poza własną klasę. Klasa społeczna określa nas bardziej niż gender. Jeśli chcemy dążyć do zmiany społecznej, wszyscy muszą działać na rzecz wspólnego interesu.

Kobiety u Ferrante są solidarne.

– To prawda. Pomimo turbulentnych relacji między matkami, siostrami, koleżankami jest między nimi silna sieć wsparcia. Dotyczy to zwłaszcza kobiet z neapolitańskiej dzielnicy, bo wśród wykształconych elit naiwne oko Eleny. Ale nawet dzielnica nie jest solidarna wobec wszystkich kobiet. Szalona Melina porzucona przez kochanka może liczyć tylko na solidarność Lili. Przekaz kul-

turowy jest jednoznaczny: nigdy nie możesz stać się porzuconą kobietą. Bo dla takich kobiet system przewiduje rolę wariatek. Motyw porzuconej kobiety, która oszalała z rozpaczy, jest stałym motywem w powieściach Ferrante. Pokazuje ona, że porzucona kobieta działa jak straszak. Jak wypadasz z patriarchalnego systemu, to wariujesz.. Towarzyszy temu wstyd, którym nie jest naznaczony porzucony facet. Wiadomo, że znajdzie sobie następną, a poza tym ma prawo do przeżycia historii o złamanym sercu.

Ferrante pokazuje, że kobiecy los jest od początku obwarowany tysiącem straszaków i nakazów. Sprzecznych. Będziesz się dużo uczyć, to wyjdiesz na kujonkę, a liczy się co innego, czyli powodzenie u chłopców. Musisz coś osiągnąć, bo jak nie osiągniesz, będziesz nikim. Musisz mieć powodzenie, ale jak on cię zostawi, to będziesz szalona. Od dzieciństwa kobieca świadoma egzystencja jest grą w dwa ognie i bez względu na to, po której jesteś stronie, uważaj, żeby cię nie przytłukli.

BAŁAM SIĘ RAKA PIERŚI ALE MYŚLAŁAM, ŻE TO DOTYKA DOJRZAŁYCH KOBIET

Zauważyła pani, że percepcja książek Ferrante w Polsce jest zupełnie inna niż na świecie.

– Jej książki narobiły w Polsce trochę szumu, ale nie zyskały aprobaty krytycznej, a fandom czytelniczy chyba nie aż tak rozległy, jak nam się wydaje. W polskich mediach dominuje przekaz sensacyjny – oto mamy tajemniczą pisarkę, kim ona jest, może chłopem?

Wszyscy wałkują smutne porównanie z Knausgårdem. To jest dwójka autorów nawiązujących do tradycji realistycznych, tworzących wielotomowe sagi, wplatających w nie wątki autobiograficzne. On jest przepięknie wydawany i krytycznie dopieszczony, a ona jednak wpadła w niszę pt. literatura dla kobiet. Ciekawie pisał o tym ostatnio Jakub Zgierski na Dwutygodnik.com.

Na Zachodzie narobiła większego szumu. Ma rubrykę w „Guardianie”, na YouTube można znaleźć mnóstwo filmów, na których

gadają o niej wybitne pisarki, odzew czytelniczy jest ogromny, ta cała Ferrante fever, fani czekali na kolejne tomy tetralogii jak na „Harry’ego Pottera”. A u nas tkwi w niszy, która w Polsce traktowana jest pogardliwie. Jako coś, co może i trafnie, i celnie opowiada o doświadczeniach naszych drogich pięknych pań i pomoże im lepiej żyć w tym świecie, natomiast nie jest to literatura, która dotyczy nas wszystkich. Na konferencji prasowej przed wrocławską premierą dziennikarz chciał wiedzieć, czy „Genialna przyjaciółka” to jest spektakl tylko dla kobiet. Zapytałam go, czy gdybym robiła „Hamleta”, zapytałby mnie, czy to jest spektakl tylko dla mężczyzn.

Skąd ta różnica się bierze?

– Wydaje mi się, że pomimo sukcesów licznych polskich pisarek cały czas nie traktujemy literatury pisanej przez kobiety uniwersalnie. To literatura niszy, która mówi nam, jak postrzegają świat te dziwne stworzenia płci żeńskiej. Widać to nawet po rynku przekładów – jako czytelniczka zakochana w prozie z Wysp Brytyjskich widzę, jaki tam jest boom, jaka różnorodność wspaniałych pisarek wszystkich pokoleń, jaki wpływ one mają na swoją kulturę. Większość z nich jest w Polsce całkowicie nieznana albo sprzedawana tak, że sama bym tych książek nie kupiła, bo opatrywane są mylącymi blurbami wciskającymi je w banał.

Ferrante, która nie dba o wysoki literacki styl i opisuje świat z perspektywy kobiet, została zakwalifikowana jako czytało może też dlatego, że unika wzniosłości, a trzyma się konkretności. Bardzo mnie zabolęły słowa Kingi Dunin w „Krytyce Politycznej”, która napisała o powieściach neapolitańskich, że niby to wszystko takie słuszne, ale jednak zlepek feministycznych tematów. I pominęła w tym tekście wszystko, co stanowi o wyjątkowości powieści Ferrante.

Zresztą dlaczego to ma być w Polsce takie niby oklepane, te feministyczne tematy? Gdzie jest u nas ten natłok zjadliwych powieści feministycznych? Świadomych klasowo powieści nie idealizujących kręgów warszawskich, tylko jadących po całości. Gdzie powieści, które prowadzą przez kobiece losy subtelną grą z narodową tradycją, tak jak Ferrante prowadzi z kulturą Włoch.

Przyjęła pseudonim, który rymuje się z nazwiskiem Elsy Morante. Daje sygnał: nie chodzi tylko o mnie, pomyślmy inaczej o kulturze naszego kraju.

A kim była Elsa Morante?

– No właśnie. Wybitną pisarką, autorką m.in. „Wyspy Artura”, która jednak została zapamiętana jako żona Alberto Moravii. Moravię u nas się wznawia, Morante – nie. Została tajemniczą pisarką. W przypadku Ferrante też czytamy o tajemniczej pisarce, zamiast koncentrować się na tym, że to bardzo ważna powieść, która mówi wiele o naszym społeczeństwie, o kapitalizmie, o naszej kulturze, patriarchacie, maczyzmie.

A pani dlaczego zastrzegła, że nie chce w ogóle mówić o sobie?

– Wydaje mi się, że moje poglądy to już mówienie o mnie, nie? Poza tym ja się wypowiadałam mocno przez swoje spektakle.

Dlatego wydaje mi się, że przez kilka godzin rozmowy niczego się o pani nie dowiedziałam.

– Hm. No jakoś nie mogę się zgodzić.

Poza tym nie zdziwiło pani, że siedzę w czapce?

Wcale.

– To dla mnie rzecz bardzo związana z pracą nad „Genialną przyjaciółką”, bo o raku piersi dowiedziałam się w trakcie prób. I od pewnego momentu dzieliłam czas na diagnostykę w Warszawie i pracę we Wrocławiu. W sobotę premiera, a w poniedziałek operacja.

Syndrom Eleny? Nie zostawię pracy, bo przecież mam tyle do zrobienia?

– Chyba nie. Nie zakładałam, że będę pracować za wszelką cenę. Chciałam zobaczyć, czy to będzie możliwe. Wiedziałam, że jeśli będę musiała się wycofać, to się wycofam. Choroba nowotworowa jest obrośnięta straszną mitologią i kiedy nagle się z nią zderzamy, to możemy poddać się mitowi, rzucić pracę, poddać się chorowaniu. Albo spróbować inaczej: pragmatycznie ocenić, co jest dla mnie najlepsze i najważniejsze. Życie pacjentki czy pogodzenie choroby z życiem, jakie się dotąd prowadziło.

Wydaje się, że zdrowie.

– No, ale zdrowie to nie jest to samo co chorowity lifestyle. O swoje zdrowie dbam teraz ponad miarę i jestem pacjentką bardzo obowiązkową, co nie znaczy, że siedzę zamknięta w domu. Bycie jednocześnie w diagnostyce i w próbach bardzo mi pomagało. Nie skazałam się na zmianę tożsamości. Ta choroba stawiała się częścią mojego życia, bo jej nie wypieram. Praca paradoksalnie pomagała mi znosić trudy diagnostyki, nie była męką, tylko radością. W przeciwnym razie bym z niej zrezygnowała.

Wydaje mi się, że wybierając tylko tożsamość pacjenta, można sobie zaszkodzić. To pewnie indywidualna sprawa, ale ja bym sobie zaszkodziła strasznie. Bo oczywiście w początkowym szoku pomyślałam sobie: game over, no future, ściany szpitala, piżama i rozmowy o lekach. Ale potem, także dzięki moim bliskim, zaczęłam trzeźwieć i wydobywać się z chorobowych fantazji ku rzeczywistości. OK, jest trudna diagnoza, ale mogła być gorsza. Można leczyć, więc lecimy. Teraz jestem w trakcie chemioterapii, a mam w sumie dobre życie, dużo ludzi i rozrywek i próby do nowego spektaklu.

Przecież tak naprawdę nie muszę rezygnować ze zbyt wielu rzeczy. Najgorsze są te mity i fantazje. A my jesteśmy tym, na co się skazemy.

Zastanawiała się pani, dlaczego ludzie wybierają tożsamość chorego?

– Być może mamy w głowach wdrukowany obraz z mediów i filmów, że kiedy się ma raka, to jest się bardzo słabym i kimś innym. I to już uogólnienie, bo nie ma jednego raka, to są różne choroby i terapie, różne może być samopoczucie. Ale przez ten uogólniony przekaz na dzień dobry sądzimy, że nie damy rady i rezygnujemy z dotychczasowych aktywności. A chyba trzeba bardziej zbadać, jak jest naprawdę. I czasami jest słabość, a czasem nie.

Bywam słaba, czasami muszę sobie odpuszczać, ale można sobie uszyć życie na miarę. Moje życie nie ma takiej intensywności, jaką miało przed diagnozą, ale i tak nie jest źle.

Poza tym chorych dotyka dziwny rodzaj wstydu. Kiedy powie się: mam raka, to ludzie robią smutne oczy, mówią do ciebie innym tonem i od razu wyczuwasz u nich rodzaj załamki. Człowiek myśli, że wszyscy się nad nim litują.

Litowali się?

– Moi bliscy nie, ale ja funkcjonuję w dość specyficznym otoczeniu. Problem jest z osobami dalszymi, tam bywa różnie, są te okrągłe od strachu oczy, i to ja muszę ludzi uspokajać. Ale właściwie to życie towarzyskie mi się zintensyfikowało, bo kiedy wpada się w siatkę diagnostyki i leczenia, to nagle kontakty z bliskimi ludźmi stają się bardziej intensywne. Musiałam wykonać dużą pracę nad sobą, żeby zobaczyć, jak bardzo wiele rzeczy jest w głowie. Żeby weryfikować wszystko, co jest realnym zagrożeniem, a co jest tylko lękiem. A w takim momencie ruszają pro-

jeckje. Więc trzeba podejść do sprawy tak jak u Ferrante – sprawdzić, co jest moim wyobrażeniem na ten temat, a co się weryfikuje.

Bała się pani, że straci włosy?

– W ogóle.

To dlaczego pani chodzi w tej czapce?

– Bo jest mi czasem zimno w głowę. Nie bałam się utraty włosów, tylko rokowania. Czy mi lekarze powiedzą, że umrę, czy nie. Ja nie boję się zadawać pytań, ale lekarze zwykle nie chcą na nie odpowiadać. Jestem osobą, którą wiedza uspokaja. Ja się męczę ze swoimi fantazjami. Z niepewnością. A trzeba wejść w konkret, co to za rak i jak się go leczy.

Wyobrażałam sobie też polski szpital, Jezus Maria, co to będzie, głęboka pogarda wobec człowieka i tak dalej. Ale trafiłam akurat w miejsca, gdzie dba się o komfort pacjenta. Oczywiście denerwuje mnie, kiedy słyszę rozmowy o chorobach, ale nie muszę w nich uczestniczyć.

Nie badała się pani regularnie?

– Nie. Co prawda guza lekarka wyczuła mi podczas rutynowego badania, więc nie było z tym tak źle, ale mogło być lepiej. Zawsze bałam się raka, ale wydawało mi się, że akurat rak piersi dotyka kobiet w dojrzałym wieku dodatkowo obciążonych dziedzicznie ryzykiem choroby. Kiedy pracowałam nad spektaklem we Wrocławiu, chodziłam do kina Nowe Horyzonty, gdzie przed seansami wyświetlano reklamę społeczną namawiającą kobiety do badań profilaktycznych. Patrzyłam na nią i przytakiwałam w duchu, no tak, kobiety po pięćdziesiątce powinny się badać. Po swojej diagnozie doszłam do wniosku, że w tej reklamie powinna wystąpić też młodsza kobieta. Bo każda kobieta po dwudziestce powinna się badać.

Nie myślała pani, że wypadnie z obiegu przez chorobę?

– Myślałam, ale odsunęłam takie myśli. Tu chyba wpadam w ten stereotyp, że kobiety są idealnymi robotnicami systemu kapitalistycznego, bo chcemy zrobić nie tylko swoje, ale także więcej. Nie wolno siebie tak traktować. Praca jest oczywiście silną częścią mojej tożsamości, a ponieważ mam w sobie dużo zdrowego egoizmu, to wiem, że podtrzymanie jej jest dla mnie dobre. Jednak nie za wszelką cenę. Bez mrugnięcia okiem zawiesiłam część zobowiązań. Zostałam tą częścią, która sprawi, że będzie mi się bardzo dobrze żyło. I mam nadzieję, że tak zostanie. ●